

**MARIA  
KONOPNICKA**

MENDEL  
GDAŃSKI

# **Maria Konopnicka**

# **Mendel Gdański**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23521258](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23521258)*

*Mendel Gdański:*

## **Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

13

# Maria Konopnicka

## Mendel Gdański

Od wczoraj jakiś niepokój panuje w uliczce. Stary Mendel dziwi się i częściej niż zwykle nakłada krótką fajkę, patrząc w okno. Tych ludzi nie widział on tu jeszcze. Gdzie idą? Po co przystają z robotnikami, śpieszącymi do kopania fundamentów pod nowy dom niciarza Greulicha? Skąd się tu wzięły te obszarpane wyrostki? Dlaczego patrzą tak po sieniach? Skąd mają pieniądze, że idą w pięciu do szynku?

Stary Mendel kręci głową, smocząc mały, silnie wygięty wiśniowy cybuszek. On zna tak dobrze tę uliczkę cichą. Jej fizjonomję<sup>1</sup>, jej ruch, jej głosy, jej tętno.

Wie, kiedy, z za którego węgła wyjrzy w dzień pogodny słońce; ile dzieci przebiegnie rankiem, drepcąc do ochronki, do szkoły; ile zwiędłych dziewcząt w ciemnych chustkach, z małymi blaszeczkami w ręku, przejdzie, po trzy, po cztery, do fabryki cygar na robotę; ile kobiet przystanie z koszami na starym, wytartym chodniku, pokazując sobie zakupione jarzyny, skarżąc się na drogość jaj, mięsa i masła; ilu wyrobników przeclapie środkiem bruku, ciężkim chodem nóg obutych w trepy, niosąc pod pachą węzełki, a w ręku cebrzyki, kielnie, liny, siekiery, piły. Ba, on i to nawet wie może, ile wróbli gnieździ się w gzymsach starego browaru, który panuje nad uliczką wysokim,

---

<sup>1</sup> *fizjonomja* (z gr.) – oblicze. [przypis redakcyjny]

poczerniałym kominem – w gałęziach chorowitej, rosnącej przy nim topoli, która nie ma ani siły do życia, ani ochoty do śmierci, i stoi tak czarniawa, przez pół uschnięta, z pniem spustoszonego, z którego na wiosnę wynika nieco bladej zieloności. On, może nawet nie patrząc w okno, samym uchem tylko rozpoznałby, czy Paweł, stróż, zamiata ulicę nową swoją, czy też starą miotłą.

I jak tego wszystkiego nie ma Mendel Gdański wiedzieć, kiedy już od lat dwudziestu i siedmiu w tej samej izbie, pod tym samym oknem swój warsztat introligatorski ma i tak już przeszło ćwierć wieku przy nim w fartuchu swoim skórzanym stoi, a podczas kiedy sucha, żylasta, a dziś już nieco drżąca ręka dociska drewnianą śrubę prasy, oczy jego spod brwi gęstych, nawisłych, siwych, patrzą w tę uliczkę, która jest wśród wielkiego miasta jakby odrębnym, zamkniętym w sobie światem.

Świata tego drobne tajemnice zna Mendel na wylot. Wie, kiedy się powiększa a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty<sup>2</sup>, który mu przynosi do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatechłych papierów, wie, jak pachnie pomada małego dependenta<sup>3</sup>, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za „skło pięknie wsadził” laurkę<sup>4</sup> z powinszowaniem, na której złocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w rękę; wie, kiedy nie je obiadu student, mieszkający na strychu, wie,

---

<sup>2</sup> *archiwista* – urzędnik archiwum, tj. zbioru dokumentów. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup> *dependent* – prawnik, pracujący u adwokata. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup> *laurka* – papier ozdobiony obrazkiem. [przypis redakcyjny]

z której strony nadbiegnie zdyszana pensjonarka, żądając, aby jej „niebiesko i ze złotymi sznurkami” oprowił przepisane na listowym papierze poezje Czesława i Gawalewicza.

On wszystko wie. Wszystko, co można widzieć na lewo i na prawo siwym, byстрыm okiem, co można na prawo i na lewo usłyszeć uchem i co przemyśleć można długimi godzinami, stukając jak dzięcioł młotkiem introligatorskim, równając i obcinając wielkie arkusze papieru, warząc klej, mieszając farby.

I jego też znają tu wszyscy. Obcy człowiek rzadko zajrzy; każdy jakby swój, jakby domowy.

Stary, łysy zegarmistrz z przeciwka, przez otwarte okno krzyczy mu latem „dzień dobry” i pyta o Bismarcka; suchotniczy powroźnik zaczepia o jego klamkę swoje długie, konopne sznurki, które, dysząc, kręci w wąskiej, wpół widnej sionce kamieniczki; chudy student z facjatki<sup>5</sup>, z nogami jak cyrklowe nożyce, wsadza zmierzchem w jego drzwi głowę na długiej, cienkiej szyi i pożycza od niego łojówkę, którą „zaraz odda, tylko jeszcze z godzinę popisze...” Straganiarka poda mu czasem przez okno rzodkiew czarną, w zamian za kolorowe skrawki papieru, z których sobie jej chłopaki sporządzają latawce, słynne na całą ulicę; synek gospodarza całymi godzinami przesiedzi u niego, czekając na wolną chwilę, w której Mendel da mu tektury do podklejania wyciętych z arkusza żołnierzy, a tymczasem dziwuje się wielkim uszom nożyc, waży w ręku młotek, wtykając nos w garnczek z klajstrem, próbując go niemal. Wszystko

---

<sup>5</sup> *facjatka* – poddasze. [przypis redakcyjny]

to tworzy jakąś atmosferę<sup>6</sup> wzajemnej życzliwości. Staremu Mendlowi dobrze w niej być musi. Mimo sześćdziesięciu i siedmiu lat, rzeński jest jeszcze w sobie. Spokój i powaga maluje się na jego typowej, zawiędłej w trudach twarzy.

Włosy jego są mocno siwe; a długa broda zupełnie siwa. Pierś zakłęśta pod pikowanym kaftanem często zadychuje się wprawdzie, a grzbiet zgarbiony nigdy jakoś nie chce rozprostować, ale tym nie ma się co trapić, póki nogi i oczy starczą, póki i w rękę siła jest. Kiedy mu duszność dech zapiera, a w zgiętym grzbiecie ból jakiś krzyże łamie, stary Mendel nakłada w małą fajeczkę tytoń z poczerniałego, związanego sznurkiem pęcherza i, kurząc ją, wypoczywa chwilę. Tytoń, którego używa, nie jest zbyt wyborny, ale daje taki piękny, siny dymek i tak Mendlowi smakuje. Siny ten dymek ma i to jeszcze w sobie szczególnego, że widać w nim różne rzeczy oddalone i takie, które już dawno minęły.

Widać w nim i Resię, żonę jego, z którą dobrze mu było na świecie przez trzydzieści lat, i synów, którzy się za chlebem rozbiegli, jak te liście wichrem gnane, i dzieci synów tych, i smutki różne, i pociechy, i troski; a już najdłużej to w nim widać jego najmłodszą dziewczynę Liję, tak wczesnie wydaną i tak wczesnie zgasłą, po której mu tylko jeden wnuk pozostał. Gdy stary Mendel rozpala swoją fajeczkę, jakieś ciche mruczenie dobywa się z ust jego. W miarę, jak pali i jak dymek siny przynosi mu dalekie obrazy i takie, które już nigdy nie wrócą,

---

<sup>6</sup> *atmosfera* – tu: nastrój, usposobienie. [przypis redakcyjny]

mruczenie to rośnie, potężnieje, staje się jękiem niemal. Ta dusza ludzka, dusza starego żyda, ma też smutki swoje i tęsknoty, które zagłusza pracą.

Tymczasem sąsiadka przynosi w jednej ręce garnczek z rosółem, w którym pływają kawałki rozmiękłej bułki, a w drugiej przykryty talerz z mięsem i jarzyną. Stary Mendel odbiera od niej ten skromny obiad; nie je go wszakże, tylko postawiwszy na małym, żelaznym piecyku, czeka. Czekanie to trwa niedługo. O samej drugiej drzwi izdebki otwierają się głośno, hałaśliwie, a w nich ukazuje się mały gimnazista; w długim, na wyrost sporządzonym szynelu<sup>7</sup>, w dużej zsuniętej na tył głowy czapce, z tornistrem na plecach. Jest to chłopak dziesięcioletni może, który po matce, najmłodszej córce starego Mendla, wziął piwne, o złocistych blaskach oczy, długie, ciemne rzęsy i drobne usta, a po dziadzi nos orli i wąskie wysokie czoło. Szczupły i mały, chłopak mniejszym się jeszcze i szczuplejszym wydaje, kiedy zrzuci szynel i zostanie tylko w szkolnej, szerokim pasem przepasanej bluzie. Stary Mendel jest w ciągłej o niego obawie. Przezroczyta cera chłopca, jego częsty kaszel, jego wątłe piersi i pochylone barki, budzą w dziadzie nieustanną troskę. Wybiera też dla niego najlepsze kawałki mięsa, dolewa mu i dokłada na talerz, a kiedy chłopak się naje, klepie go po ramieniu i zachęca do zabawy z dziećmi w podwórku.

Malec rzadko kiedy namówić się pozwala. Jest zmęczony lekcjami, ciężkim szynelem, siedzeniem w szkole, drogą,

---

<sup>7</sup> szynel – płaszcz wojskowego kroju. [przypis redakcyjny]

dźwiganiem tornistra; ma też dużo zadań na jutro. Powłóczy nogami chodząc, a nawet wtedy, kiedy się uśmiecha, piwne jego oczy patrzą z melancholią jakąś.

W kilka chwil po obiedzie malec zasiada przy prostym sosnowym stole, dobywając z tornistra książki i zeszyty, a stary Mendel zabiera się do swego warsztatu. Choć chłopak cicho się sprawnia i, tylko szeptem półgłównym powtarzając lekcje, kiedy niekiedy za ledwie stuknięciem stołkiem, na którym się buja, podparłszy na stole oba chude łokcie, znać przecie, że staremu introligatorowi przeszkadza coś w robocie. Co i raz odwraca on głowę, by spojrzeć na chłopca, a choć po klajster ręką sięgnąć może, obchodzi z boku warsztat, gdy mu go potrzeba, aby po drodze uszczypnąć wnuka w liczko blade, przejrzyste, lub pogłaskać go po krótko przyciętych, miękkich i ciemnych jak krecie futerko włosach. Chłopiec przyzwyczajony jest widać do tych pieścizot, nie przerywa przy nich bowiem ani swego żarliwego szeptu, ani kołysania się na stołku. Stary introligator wszakże zupełnie i tym jest zadowolony, a przyciszając kłapanie pantofli, powraca na palcach do swego warsztatu.

W piątek przed wieczorem scena się odmienia: malec uczy się przy oknie, kołyszając się mozolnie na stołku, nie mającym tu swojego rozpędu, a na sosnowym, pokrytym serwetą stole sąsiadka zastawia rybę, makaron i tylko co przyniesioną od piekarza tłąstą, pięknie zrumienioną kaczkę. Cynowy, o dziwnie powykęcanych ramionach świecznik z gałkami oświeca izbę uroczyście, świątecznie.

Stary Mendel ma na sobie wytarty już nieco, ale jeszcze piękny, żupan czarny, przepasany szerokim pasem, za który z lubością zakłada spracowane ręce. Siwe jego włosy pokrywa jarmułka<sup>8</sup>, a skrzyp nowych z długimi cholewami butów napętnia izbę jakimś radosnym szmerem. Gdy już stół zastawiony został, chłopak się myje, przyczesuje swoje krecie futerko na drobnej, podłużnej głowinie, zapina świeży kołnierzyk i czyste mankiety, a założywszy ręce w tył, stoi poważny i wyprostowany, podczas kiedy dziad sięga na półkę<sup>9</sup> po zwinięty tałas<sup>10</sup> i po modlitewnik.

W chwilę potem rozlega się wargowy, brzęczący śpiew modlitewny starego żyda; głos jego przechodzi wszystkie spadki od niskich, śpiewem brzęmiących, do wysokich, na których śpiew jego przechodzi w jęk i w żarliwy jakiś lament, w akcenty namiętne, błagalne, łkające. Pod wpływem śpiewu tego mały gimnazysta odczuwa dreszcz nerwowy, blada jego twarzyczka staje się bledszą jeszcze, wielkie oczy to rozszerzają się nad miarę, to mrużą się i zachodzą łzami; patrzy na dziada jakby urzeczony, a spazmatyczne ziewanie otwiera mu usta. Na szczęście, dziad zamyka wkrótce stary modlitewnik i błogosławieństwem rozpoczyna szabasową ucztę.

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki od Kołodziejskiego ślusarza i od szewca Pocieszki zebrali się przed otwartym oknem

---

<sup>8</sup> *jarmułka* – czapeczka. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup> *polica* – półka. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup> *tałas* – chusta w białe i czarne pasy, którą Żydzi zarzucają na ramiona podczas modlitwy. [przypis redakcyjny]

starego introligatora, a zaglądając przez nie do oświetlonej szabasowym światłem izby, robili sobie z tej modlitwy śmieszki i głupią uciechę.

W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad wyraz wymowna. Chłopaki zemknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął, i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej izby zamieszany został.

Przedwczoraj dopiero...

Właściwie i przedwczoraj nie stało się nic. Tylko malec powrócił ze szkoły bez czapki, zdyszany, jak zając zgoniony. Zrazu nic mówić nie chciał; dopiero po długich badaniach wyznał, że jakiś obdartus krzyknął na niego „żyd!... żyd!...”, więc on uciekał i czapkę zgubił, i nie śmiał wracać po nią.

Fala gniewu uderzyła staremu Mendlowi do twarzy. Wyprostował się, jakby urósł nagle, splunął, a potem chłopaka twardo za ramię ująwszy, do stołu pchnął i obiad w milczeniu spożył.

Po obiedzie nie wrócił do warsztatu i fajki nie nakładał, tylko sapiąc, po izbie chodził. Malec także do lekcji się nie brał, ale patrzył na dziadka zalęknionym wzrokiem. Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział.

– Słuchaj ty! – przemówił wreszcie, stając przed chłopcem, Mendel. – Jak ja ciebie małego sierotę wziął i chował, i za niankę także był, i piastował ciebie, nu, to nie na to ja ciebie chował

i nie na to ciebie piastował, co by ty głupi był! I jak ja ciebie uczyć dał, jak ja ciebie do szkoły posyłał, jak ja tobie książki kupował, to też nie na to, co by ty głupi był! A ty ze wszystkim głupi rośniesz, i nie ma u ciebie żadnej mądrości! Jakby u ciebie mądrość była, to by ty tego nie wstydział się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie „żyd” krzyknie. A jak ty tego płaczesz, jak ty uciekasz i jeszcze taką piękną nową czapkę gubisz, co pięć złotych bez sześciu groszy kosztuje gotówką, pieniędzmi, nu, to ty ze wszystkim głupi jesteś, a te szkoły, te książki, te nauki, to wszystko na nic!

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.